

KULTURA SZUKAJ KULTURA SZUKAJ KULTURA

Spotkanie z Niną Andrycz

CAŁE ŻYCIE...



Nina Andrycz prywatnie

Fot. Zofia Nasierowska

— Pani Nino, jest Pani wciąż nadzwyczaj młoda w ruchu, geście, sylwetce, a przecież nie trudno wyliczyć, że już niebawem może pani obchodzić jubileusz 45-lecia pracy aktorskiej na scenie Teatru Polskiego. Jest więc Pani jednocześnie współczesnością tego teatru i jego legendą. Jak Pani to robi?

— Nie mam żadnej gotowej recepty ani na współczesność, ani na legendę. Myślę sobie po prostu, że czas płynie i albo nas niszczy, albo czegoś uczy. Mnie właśnie uczy.

— Czego?

— Lepszej, bo głębszej znajomości ludzi, zjawisk, okoliczności, a zwłaszcza siebie samej. No, a gdy się już zna siebie — czasem udaje się w twórczości wyjść i poza siebie. Wtedy można by to nazwać „aktorstwem czystym” w odróżnieniu od tego zabarwionego subiektywnie, do którego w sposób naturalny skłania własna biografia.

— A propos biografii: nasi Czytelnicy z Pani widzowie chętnie dowiedzieliby się czegoś o Pani, co właśnie nie jest wpisane w oficjalny życiorys.

— To znaczy o mnie jako o człowieku, który w pewnym momencie życia postanowił zostać aktorką?

— Tak.

— No cóż, mogę pani podać pewien fakt, który mi jakoś szczególnie utkwił w pamięci. Zdarzyło się to w czasie zawieruchy wojennej. Człowiek, którego kochałam, spotkał przypadkiem na kresach wschodnich moją matkę. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie milcząc, wreszcie on westchnął i powiedział: — Nina ma charakter. Tak — od-

- graną około 300 razy
- tragiczną Marię Stuart Słowackiego
- łącznie z występami gościnnymi — 250 razy na scenie
- wytworną Lady Millford
- 318 razy
- dumną Kleopatę
- 150 razy
- Srimenę w „Cydzie”

— ponad 200 razy, nie licząc występów Teatru Polskiego w Związku Radzieckim. Jeśli chodzi o Marynę Mniszech graną na wielu estradach — zgubiłam rachubę. Dotyczy to także innych ról.

— Na przykład w „Pożądaniu w cieniu więzów”.

— Istotnie. Ale proszę, nie wymieniajmy ról z przeszłości. Ja nie lubię żyć wspomnieniami.

— Co więc kryje terazniej-szość, bo przecież tak rzadko można było spotkać w ostatnich latach Ninę Andrycz na scenie Teatru Polskiego. Czym jest spowodowana ta przykra nieobecność?

— Ach, proszę pani, mnóstwo rzeczy się przecież dzieje ze względów pozateatralnych. Zdarzają się dyrekcje, które nas raptem jakoś nie uważają, albo którym się zdaje, że należy nas nie dostrzegać. Wtedy słabe charaktery zapijają się na amen, albo — zmieniają placówkę. No, ale ja, jako się rzekło, mam raczej mocny charakter.

— Podobno bierze Pani teraz udział w próbach?

rzekła moja matka — Bogu dzięki ma. Myślę, że są to najprawdziwsze słowa omnie, jakie w życiu słyszałam. Do moich ludzkich zalet i przywar należy także bardzo wyostrzona ambicja. Byłam tą dziewczyną na studiach, która się zalewała gorzkimi łzami, jeśli profesor postawił jej piątkę z minusem. W jakimś stopniu przesładuje mnie to do dziś dnia, choć teraz oczywiście umiem już spojrzeć na to z dystansu.

— Ale przecież w Pani karierze aktorskiej ta ambicja otrzymywała wspaniałe satysfakcje. Wystarczy wymienić niezapomnianą „Lalkę”.



Jako Elżbieta (w „Marii Stuart” Friedricha Schillera) z Krzysztofem Chamcem na scenie Teatru Polskiego Fot. Barbara Zalewska

— Owszem, jest to, albo raczej będzie to jeszcze jeden „mój” Bernard Shaw. Tym razem zaproponowano mi rolę tytułową w „Profesji pani Warren”. Spektakl reżyseruje Krystyna Meissner, premiera przewidziana jest w początkach maja. Mówić o roli jeszcze nie mogę, bo to praca jakby w mokrej glinie — u-

— Nie okrywa. Dyrektor Jan Paweł Gawlik ma już, zdaje się, dla mnie dobry tekst w Teatrze Telewizji. Wpierw muszę jednak uporać się z panią Warren, jako że organicznie nie znoszę jednoczesnego próbowania dwóch bardzo do siebie nie podobnych postaci. Ta, którą mam zagrać w przedstawieniu telewizyjnym, wyszła spod pióra Williama Faulknera.

— W Pani dorobku, jeśli się nie myli, nie będzie to pierwsza kobieta Faulknerowska?

— Nie myli się pani. Gram, także w Teatrze Telewizji, wraz z Edmundem Fettingiem i Mariuszem Dmochow-



Jako Maria Stuart (w dramacie Juliusza Słowackiego) z Ignacym Gogolewskim na scenie Teatru Polskiego.

Fot. Leonard Myaskowski

lepi się, uformuje na przykład tułów, a prawej ręki brak...

— Zapewne jednak znaczące partie tej roli są już uformowane i są pewne kwestie, do których nabrała Pani przekonania...?

— „Och, jakże mnie mierz ta parzywa obłuda”.

— Jeżeli mówimy o terazniejszości, to czy musi ograniczać się ona tylko do propozycji Teatru Polskiego?

— Nie. I obiecuję Czytelnikom „Życia Warszawy”, pisma, które stale prenumeruję od lat, że zobaczą mnie w zupełnie nieoczekiwanym, nowym wcieleniu. Stanie się to na małej scenie, w Starej Prochowni — u Wojciecha Siemiona, z którym współpracuję wysoko sobie cenię.

— Ale cóż to będzie?

— Sekret absolutny. Żeby nie zapeszyć — poczekajmy do jesieni.

— Czy inne propozycje, bo zapewne są także inne, okrywa również tajemnicą?

skim w zrealizowanym przez Ludwika Rene przedstawieniu „Dzikich palm”. Po tym spektaklu dostałam mnóstwo serdecznych listów od publiczności. Mam nadzieję, że któregoś dnia powtórzę go Teatr Wspomnień. Bardzo bym chciała grać częściej dla telewizji, nawet nie z powodu powszechności odbioru, ale możliwości odnawiania środków aktorskich. Kamery nie wymagają dobitności wyrazu, ani szerokiej gestów z dużej sceny, ani wielkiego głosu. Pewnej powściągliwości i kameralności gry nauczyłam się właśnie w pionierskich czasach naszej telewizji, kiedy spektakle nadawano na żywo. Telewizja wymaga ogromnej koncentracji, ale równocześnie — co wydaje się paradoksalne — daje poczucie osobliwego luzu improwizacyjnego. Lubię ten luz.

— W pewnym momencie życia postanowiła Pani zostać aktorką. Co dla tego zawodu Pani poświęciła?

— Ależ wszystko! Całe życie...

Rozmawiała MALGORZATA DIPONT